OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ

GAZETKA MIKI

ROK I. 1939 5 MARCA Nr 12

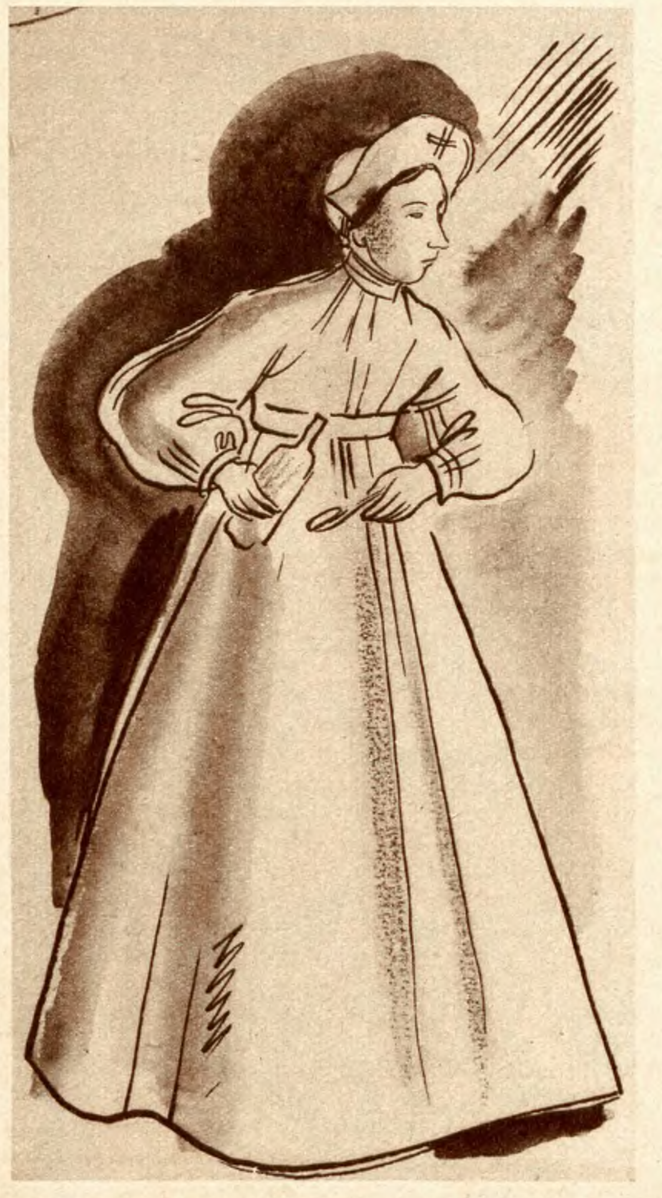
TYGODNIK

CENA 40 GROSZY



ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PĘDZIWIATR



Musiało się tak skończyć!

Ktoś klęknął nad nim, ktoś drugi rozpiął mu bluzkę i rękę do serca przyłożył, ktoś trzeci po wino pobiegł. Dobrzy ludzie znajdą się wszędzie, nie brakło więc ich także w tym pięknym domu, do którego zawiózł Staszka biały, mądry osiołek. Znalazło się nawet sporo tych dobrych ludzi, cucić go i wypytywać na wszystkie sposoby zaczęli, ale Staszek, choć słyszał, że po polsku między sobą rozmawiają, odpowiedzieć nie potrafił w żaden sposób. Coś mu zatkało usta tak, że był jak niemowa. Ani be, ani me!

— A to dziwne! — mówił jakiś woźny, w mundur ubrany. — Arab czy Turek, bo w fezie chodzi, tymczasem ma takie jasne włosy!

— Prawda! — dodał ktoś drugi. — Jak len! I oczy niebieskie! Jeszcze nigdy w życiu takiego Araba nie widziałem! Służę tu w konsulacie jerozolimskim od dobrych pięciu lat i nie zdarzyło mi się spotkać Araba o takich jasnych włosach i o takich oczach! Gdyby nie ten fez na głowie, powiedziałbym, że to jakiś nasz Jasiek czy Staszek znad Wisły albo znad Dunajca!

Staszek chciał koniecznie przemówić, powiedzieć, że on właśnie ma na imię Staszek! I że znad Dunajca! I że jest Polakiem! I że ten fez... O, rację miała jaskółka: nie powinien kupować fezu! Wszystko przez ten głupi fez! Zachciało mu się fezu!... Gotowi go ci ludzie wziąć za Turka! A jak na złość nie może wydusić z siebie ani słowa! Wargi same składają się do tego, żeby rzucić to słowo (Polak)!, ale Staszek nie potrafi tego wykrztusić w żaden sposób. Ci ludzie zaś obszukali mu wszystkie co do jednej kieszenie, a nie znalazłszy żadnych papierów, postanowili zatelefonować na policję. Trzeba przecież zająć się tym chłopcem, który pewnie z głodu omdlał.

— Nic innego, tylko z głodu! — rzekł pierwszy woźny.

— Nie z głodu, bo wczoraj zmieniał u mnie dukata! — odezwał się ktoś nowoprzybyły.

Staszek podniósł oczy i poznał tego bankiera, z którym tak targował się, żądając trzech i pół funta za pieniążek dany przez jaskółkę. Tak, to on był! Staszek patrzył, a tymczasem woźni zaczęli wypytywać kupca, jak to było z tym dukatem, skąd go chłopiec miał i na co mógł wydać tyle pieniędzy. Przecież nie ma przy sobie ani grosza!

— Na co wydał? Nie wiem! Ja go sam pytałem, co zrobi z taką masą pieniędzy, ale on musi być trochę myszygiene! Powiedział mi, że dostał tego dukata od jednej jaskółki! A skąd jaskółka może mieć tyle pieniędzy, żeby szastać dukatami?

— Od jaskółki? — zdziwili się woźni. — Jakże to może być?! Chyba zmyśla ten chłopak? Ukradł komuś dukata pewnikiem i...

— Nie ukradłem! — przemówił nagle Staszek. — Dostałem od jaskółki, słowo honoru!

Teraz zjawił się sam pan konsul, Staszkowi zaś do reszty rozwiązał się język po kilku łykach herbaty z winem. Szybko, połykając słowa razem z herbatą, opowiadał, skąd jest i w jaki sposób dostał się do Jerozolimy. Nie wierzył mu nikt, gdy zaś wspomniał po raz drugi o jaskółce, potem o jej liście, wszyscy spojrzeli na niego dziwnym wzrokiem, a bankier zrobił na czole znak kółka.

— Myszygiene! Przecie mówiłem!

— Chory jest ten chłopiec i bredzi w gorączce! — rzekł pan konsul.

Staszek zaklinał się na wszystkie świętości, że mówi prawdę, że nic nie skłamał, ani nie dodał, lecz nie wierzył mu nikt. Stali wszyscy nad nim, głowami kiwając.

— Więc ta jaskółka napisała mi, żebym przypadkiem nie pił wody nieprzegotowanej...

Teraz już dla nich wszystko było jasne, skoro zaś opowiedział jeszcze o tym, że osiołkowi pokazał piórko jaskółki, konsul orzekł, że nie ma innej rady, tylko zaraz trzeba zatelefonować do zakonnic z Domu Polskiego, aby przygotowały dla Staszka łóżko. Chłopca musi zbadać doktor, bo to może być czerwonka, jeśli nawet nie coś gorszego.

Staszek był bezsilny. Tłumaczył, przysięgał się, że to wszystko z wody, którą pił wczoraj w mieście, tam, pod tą wielką bramą. Zaledwie trzy kubki... Znowuż dał słowo honoru, ale właśnie te kubki przekonały wszystkich, że sprawa może być jeszcze poważniejsza, niż by się zdawało. A nuż chłopiec dostał tyfusu? I to bywa...

Tymczasem przyszły nosze i sanitariusze położyli na nich Staszka. Jeszcze pan konsul powiedział mu, żeby się niczego nie bał, że w szpitalu będzie mu bardzo dobrze, zakonnice się nim zaopiekują, Staszek jednak nie słuchał, tylko zanosząc się od płaczu, powtarzał bez końca historię o skradzionym, cudownym prześcieradle, o jaskółce, o osiołku, o piórku, o wodzie...

Nikt nie zwracał uwagi na jego słowa i sanitariusze ruszyli szybko do szpitala. Gdy mijali placyk, stał tam biały osiołek, który poznawszy Staszka, smutno pokiwał uszami, jakby mówił:

— A wiedziałem, że tak się to skończy! Oj, ci chłopcy, ci chłopcy!

(d. c. n.)



Rysunki naszego Czytelnika



Wielki konkurs dla naszych rysowników

Ogłaszamy Wszystkim naszym Przyjaciołom i Czytelnikom (wszystkim razem i każdemu z osobna), że rozpisujemy wielki konkurs z nagrodami. A mianowicie:

1) Dnia 18 marca o godz. 15-tej należy zasiąść wygodnie przy aparacie radiowym, nastawić Warszawę I i pilnie słuchać. Przemówią do Was wtedy z czarodziejskiej skrzynki głosy dziwnych zwierząt. A rzadko chyba się słyszy mówiące i śpiewające zwierzaki. Będzie to słuchowisko Janiny Broniewskiej »O lecie, zimie i wiośnie w kraju — gdzie pieprz rośnie« w opracowaniu muzycznym Romana Palestra. — Wybierzcie sobie dowolną scenkę z tej przedziwnej krainy i narysujcie ją ślicznie i kolorowo. Możecie użyć kredek, możecie malować farbami. Rysujcie tylko z pamięci (bez kalkowania i przerysowywania). — To jest pierwszy warunek konkursu, czyli temat rysunku.

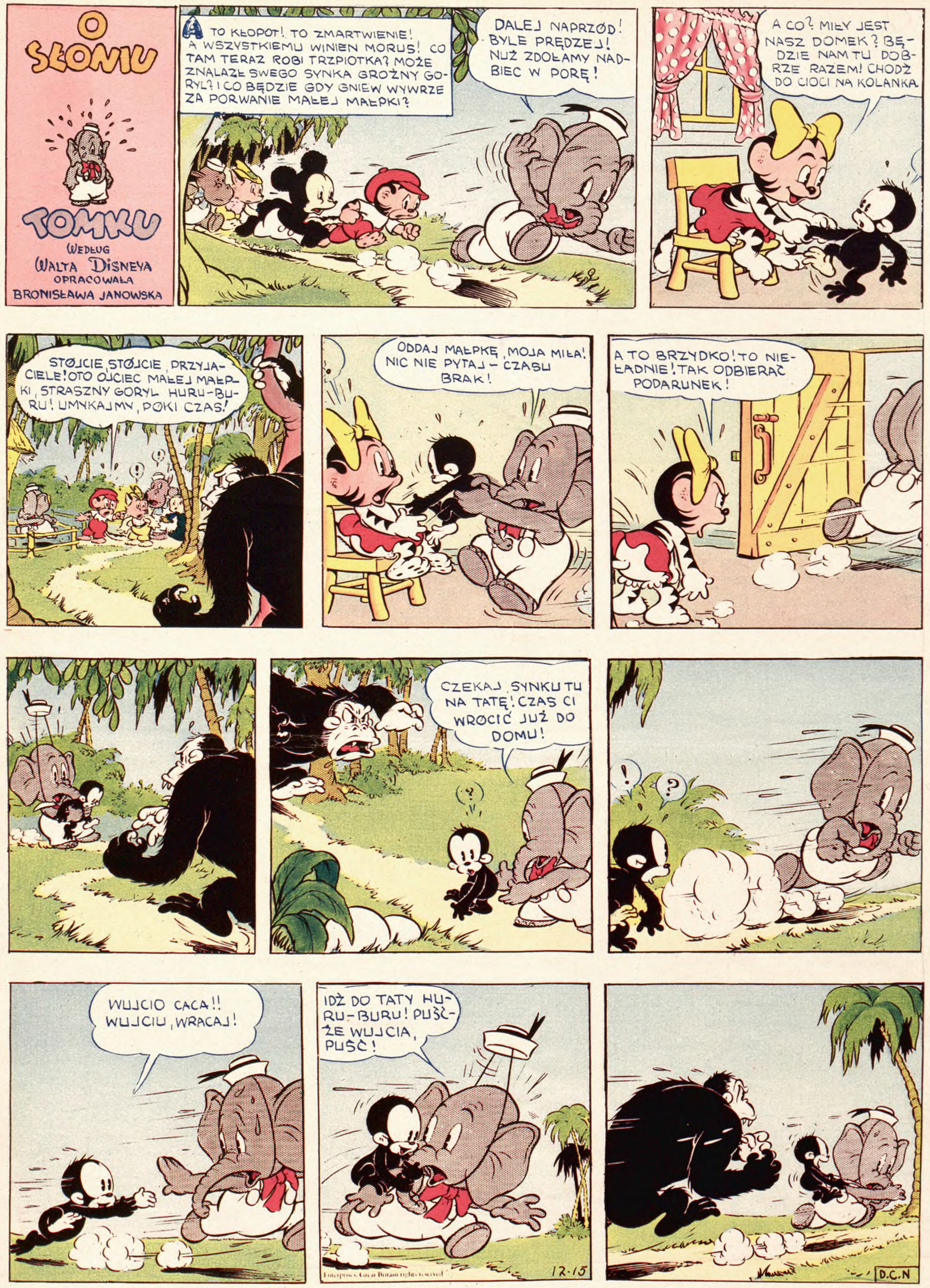
2) Rysunek musi mieć wymiar następujący: wysokość 10 cm i szerokość 17 cm. Tyle właśnie, ile ma szerokości i wysokości Wasz stały kącik.

3) Termin nadsyłania Waszych prac mija 1 kwietnia. Pracę należy przysłać starannie podpisaną po drugiej stronie rysunku. Nie tylko imię, nazwisko, adres, lecz i wiek malarza. Do nadesłanej pracy należy załączyć kupony wycięte z numerów 12, 13 i 14 naszej Gazetki. Na kopercie napiszcie: Redakcja »Gazetki Miki« (Konkurs rysunkowy), Warszawa I, Jasna 18—20, m. 17.

4) Po rozpatrzeniu rysunków przez sąd konkursowy zostaną przyznane następujące nagrody za najładniejsze i najbardziej pomysłowe prace:

1. Nagroda pierwsza:
   3 lampowy odbiornik „ECHO" o zasięgu europejskim.
2. Dwie nagrody drugie:
   a) dla młodszych do lat 8-miu: lalczyne gospodarstwo lub pluszowy niedźwiadek
   b) dla starszych od lat 8-miu: dwa komplety książek dla dziewczynek lub chłopców.
3. Dwadzieścia nagród w postaci książek.
4. Rysunki nagrodzone i wyróżnione zostaną umieszczone w Gazetce na kolorowej stronie.





O czym śpiewały zwierzęta



Wyszła z domu mała Śnieżka
co u krasnoludków mieszka.
Słucha, patrzy — co się dzieje,
Czy bór płacze, czy się śmieje...

Rośnie jawor w ciemnym borze
złote liście na jaworze,
idzie zając ciemnym borem,
zatrzymał się pod jaworem.

I wyciąga wesolutko
taką skoczną, rzewną nutkę,
w las wędruje piosnka echem
srebrnym płaczem, srebrnym śmie-
[chem.

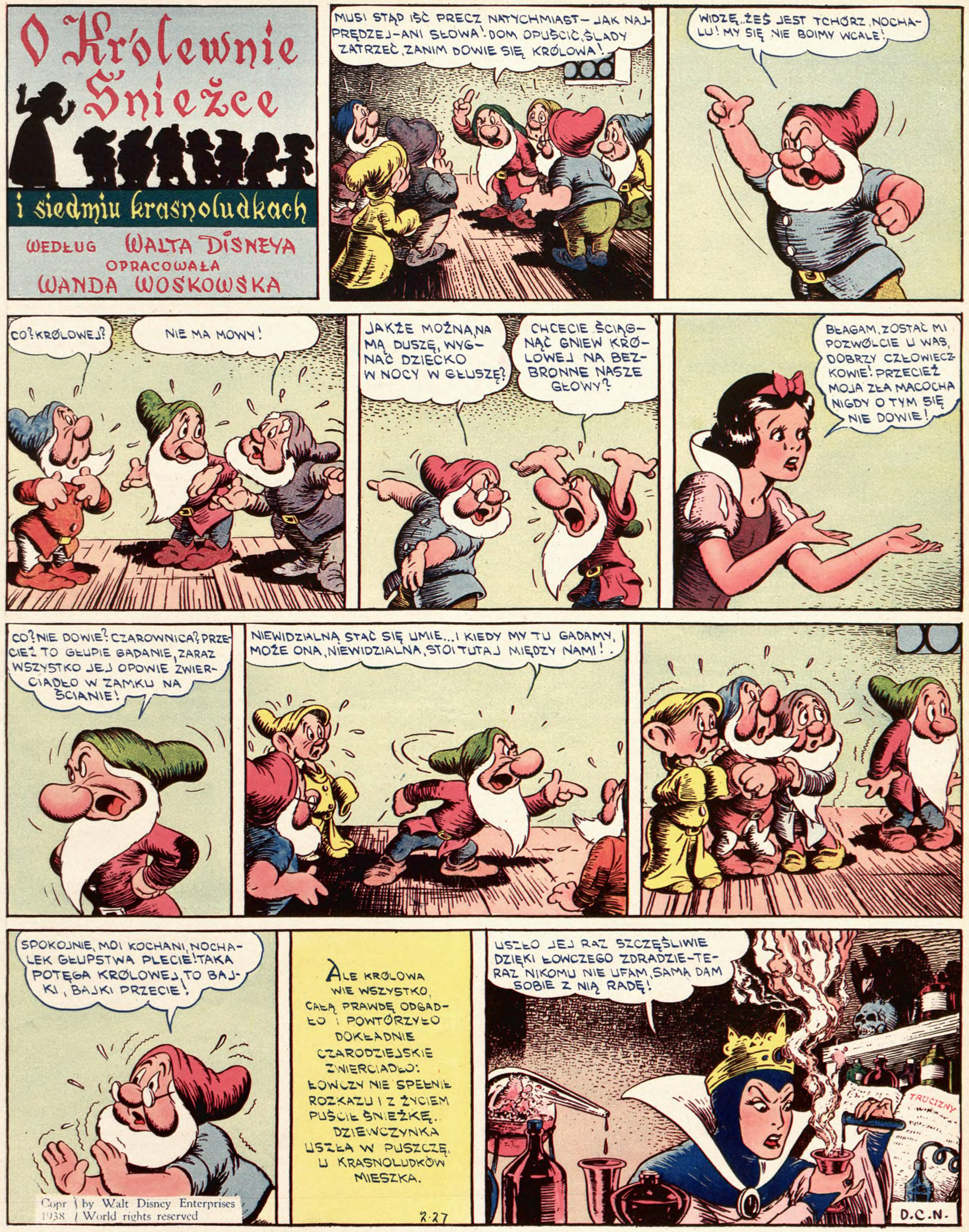
Dziwują się wszystkie drzewa
jak ten zając pięknie śpiewa
o szumiącym, czarnym borze
i o liściach na jaworze.

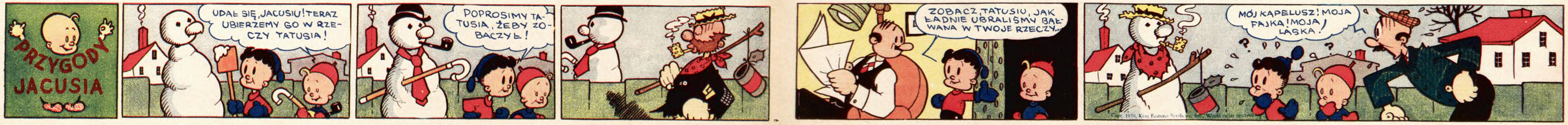
Wiewióreczki, rude śmieszki
biegły lasem na orzeszki.
Gdy zająca posłyszały,
o orzeszkach zapomniały.

Przyłączyły głosik cienki
do zajęczej tej piosenki,
aż zadzwonił las cieniutko
skoczną, drobną, srebrną nutką.

A nikt nie wie, nie dowie się,
co śpiewano w czarnym lesie,
tylko jedna mała Śnieżka
co u krasnoludków mieszka.







Jak małe bobry po indiańskich lalkach odziedziczyły imiona

według GREY OWL'A — SZAREJ SOWY — opracowała BRONISŁAWA JANOWSKA



W pewnej chwili płonące drzewo zwaliło się w poprzek ścieżki.



Sejdżio pobiegła do domu z małym na rękach.

Długo wędrowały sobie boberki w koszyczku z brzozowej kory. Wędrowały pod najlepszą opieką wielkiego myśliwego.

Indianin Wielkie Pióro karmił je jak najlepsza niania. Wędrówka bobrów i myśliwego trwała calutki tydzień.

Pewnego dnia, akurat właśnie w tydzień po przygodzie z wydrą, wielki ruch panował w chatce Wielkiego Pióra. To Sejdżio i Szejpian, prawdziwe indiańskie dzieci, sposobiły dom na przyjęcie ojca Wielkie Pióro.

Domek z bali stał na trawiastym pagórku nad brzegiem jeziora. Tuż za pagórkiem rozciągała się puszcza. Jezioro było tak wielkie, że tylko z trudem dojrzeć można było przeciwległy brzeg. Wyglądał jak cieniutkie, ciemnawe pasemko. Woda falowała jak w najprawdziwszym oceanie. Dzieci już od pewnej chwili wypatrywały jakiegoś punkcika na falującej tafli wodnej. Wybiegały na ścieżkę, to znów wracały do domku. W domku zaś aż lśniło wszystko od czystości. Podłoga, sklecona z grubych, lecz szczelnie dopasowanych desek. Trzy proste łóżka stojące w jednym rzędzie pod ścianą. Cieplutkie, prawdziwe indiańskie koce czerwone, białe i zielone. Ukochana strzelba Szejpiana, świeżutko naoliwiona, błyszczała w kąciku naprzeciwko drzwi. Wtórowały jej w tym blasku wszystkie noże, widelce i blaszane talerze na stole.

Na środku stołu leżał indiański chleb-placek. Wyszedł właśnie z pieca i jeszcze unosiła się nad nim para. Nareszcie na jeziorze ukazał się nieznaczny czarny punkcik. Wypatrzyły go bystre oczy Szejpiana. Sejdżio uwijała się ciągle po małym domku. W kolorowej pstrej sukience w odświętnych, paciorkami wyszywanych mokasynach. Wyjmowała właśnie z kufra dwie stare lalki. Czilawi i Czikani. Biedne czupiradełka! Choć odświętnie przyodziane wyglądały mało pociągająco. Farba pozłaziła im z malowanych twarzy. Pogubiły nosy i palce. Był to jednak zeszłoroczny dar urodzinowy. I dziś także były urodziny małej Sejdżio. A ojciec właśnie wracał z puszczy.

— Nic pewnie w tym roku nie dostanę — pomyślała mała. Lecz nie było to wcale prawdziwe zmartwienie. Jakże mogłaby się martwić, oczekując właśnie przybycia ojca po tak długiej rozłące?

Bo ojciec przybył. Czarny punkcik na jeziorze zwiększał się nieustannie. Niebawem do brzegu przybiło ojcowe kanu (tak się właśnie nazywa indiańska łódź). Po pierwszych powitaniach Wielkie Pióro powiedział, przebijając się jakby przez gąszcz przez setki pytań swych dzieci:

— Powoli, powoli! Spójrz Sejdżio, co ci przyniosłem na urodziny.

Koszyczek brzozowy, ta karoca bobrząt, znalazł się w ciemnych rączkach Sejdżio. Zaniosła swój skarb do chaty.

Trudno opisać co się potem działo. Dzieci zobaczywszy zawartość koszyczka po prostu oniemiały z zachwytu. Tak, jak to robią wszystkie białe i kolorowe dzieci na całym świecie. Sejdżio wzięła jedno z maleństw na ręce i poczęła coś mu opowiadać szeptem. A wtedy — o dziw nad dziwy! — bobrzy malec odpowiedział jej zupełnie dziecinnym piskiem. Potem i drugi wtulił ciepły, mokry nosek w zagięcie szyi swej opiekunki.

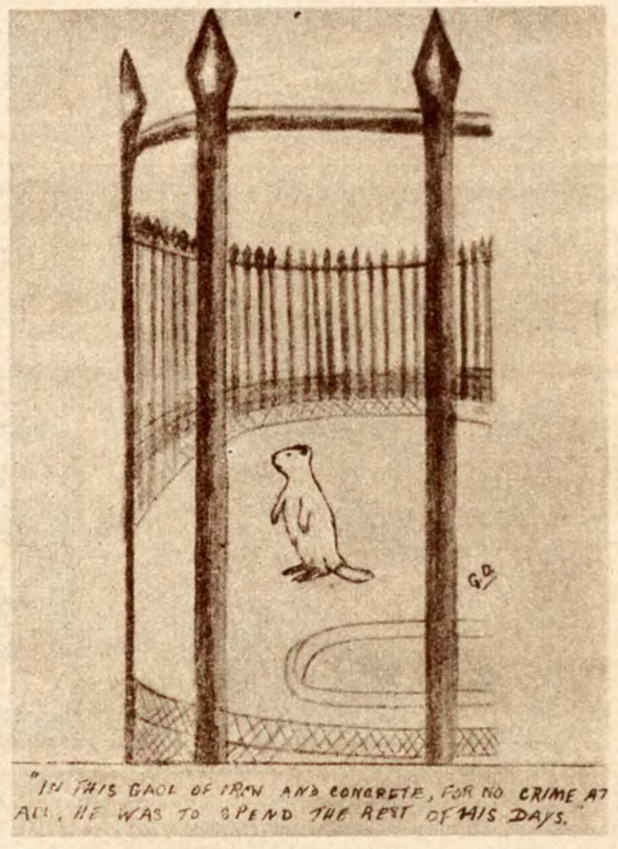
Sejdżio zrozumiała, że pokocha te zwierzaczki. Pokocha jeszcze bardziej, niż zeszłoroczne lalki. Cóż więc dziwnego, że lalki odwróciła do ściany, a bobrzętom podarowała ich imiona?

Zaczęło się od tej chwili piękne życie w czyściutkim domku myśliwego Wielkie Pióro. Bobrzęta zamieszkały pod łóżkiem Szejpiana. Kąpały się w balijce. Umieścił tę bobrzą wannę sam wielki myśliwy w otworze wyciętym w belkowanej podłodze. Małe zaczęły opuszczać próg domu. Nieraz się zdarzało, że mała Sejdżio musiała szukać włóczęgów i znosić je do domu. Lecz wśród tej radości nadciągnęła chmura. Wiele się na to złożyło. Kłopoty pieniężne zmusiły ojca do rozstania się z jednym z bobrzych maleństw. Biedny Czikani został sprzedany handlarzowi. Wywieźli go do dalekiego obcego miasta. Dzieci nie mogły pogodzić się z tym rozstaniem. Wyruszyły do miasta. Straszna to była przeprawa. Przedzierały się przez płonącą puszczę. Byle naprzód! Na ratunek małego Czikani, który zamiera z tęsknoty za nimi tam w żelaznym więzieniu ogrodu zoologicznego.

Tutaj możemy Wam tylko pokrótce o tym powiedzieć. Opisane to jest przecie dokładnie i ślicznie w grubej książce: »Sejdżio i jej bobry«.

Wiem, że już pokochaliście ten bobrzy ludek. Jakże go można nie pokochać? Więc nie chcę Was martwić przez ten czas, dopóki nie dowiecie się wszystkiego z książki. Więc powiem na pociechę krótko: wszystko skończyło się szczęśliwie. Odnalazły się cztery kochające serca. Bobrze i indiańskie. Prawdziwa przyjaźń nigdy nie zawodzi. Przyjaźń białych i kolorowych dzieci. Przyjaźń dzieci i małego, bobrzego ludku.

KONIEC



I w tym żelaznym więzieniu miał biedny Czikani, który nie popełnił żadnej zbrodni, spędzić całe życie.



DRODZY PRZYJACIELE!

Przeczytaliście pewnie bardzo uważnie o tym konkursie na drugiej stronie. Domyślam się, jak bardzo będziecie się starać przy konkursowym rysunku. Radia słuchacie pewnie i tak bardzo pilnie, bo to przecie nie tylko rozrywka nadzwyczaj miła, lecz i bardzo wielu rzeczy pożytecznych was uczy. Pomyślcie, że wasi rodzice nie znali wcale w swym dzieciństwie tej cudownej i jakby czarodziejskiej skrzynki, która przemawia najprawdziwszym ludzkim głosem. Najciekawsze będzie, jak sobie wyobrażacie rzeczy, które tylko można słyszeć. Dzieje się coś w słuchowisku radiowym i to słyszymy wspólnie. A jak się to dzieje, widzi już każdy z nas nie tylko oddzielnie, ale zupełnie inaczej. Widzi to bowiem we własnej wyobraźni. Chcę też odwołać się do waszego honoru klubowego. Wiecie, że we wszelkich zawodach sportowych obowiązuje uczciwość. W tych zawodach nietyle sportowych co malarskich także. Nieuczciwe byłyby prace podpisane przez dzieci a poprawiane przez dorosłych. Bo i jakże! Ktoś z mniejszych czytelników napracuje się uczciwie. Nie tylko kredką, ale małą główką. A tu tymczasem dorosły staje z nim razem do zawodów. No i wygrywa. Dlaczego? Bo potrafi lepiej narysować i sprytniej obmyśleć treść obrazka. A my wcale nie chcemy, żeby to był obrazek jak malowana pocztówka. To muszą być najprawdziwsze pomysły samych czytelników, zwłaszcza tych najmniejszych nie wolno krzywdzić. Więc rysujcie śmiało! Mamy przecie do siebie wzajemne zaufanie, bo nie na darmo jesteśmy klubem przyjaciół, prawda?

Teraz czas podziękować tym właśnie przyjaciołom za nadesłane rysunki i listy: Edziowi Fasslerowi z Równego Wołyńskiego za miłą przejażdżkę samochodową. Za miłe słowa serdecznie całuję Marysię Kocównę z Mikuszowic Wielkich koło Bielska. Stelinkę Knoblównę z Ciężkowic koło Tarnowa uważamy za wypróbowaną przyjaciółkę. Liszka Wszędobylska bardzo się cieszy, że tak Ci się podobał jej list do Ciebie. Oddałem jej znaczek, pewnie znów do Ciebie napisze niedługo. Werner Kropf też już należy do naszych starych przyjaciół. Przysłał nam bardzo ciekawy opis Dąbrowy Górniczej. Prosimy o więcej wiadomości o najmłodszej siostrzyczce Basi dwie starsze siostry: Krzysię i Haneczkę Kotowiczówny z Ołyki na Wołyniu. Kowalstwa się jeszcze nie uczyłem, ale jak mnie tak zachęcacie — to chyba spróbuję.

Halo! Lwowianie! Tereska Łopuszańska ślicznie pisze, tylko na rysunki nie ma czasu. Lecz pewnie w konkursie weźmiesz udział? Benedykt Karczewski przysłał pociąg w pełnym biegu. Jurkowi Izdebskiemu z Lublina Kaczorek Zadziorek dziękuje za nowy frak. Jadzia Panek z Chmielowa (p. Tarnobrzeg) prosiła mnie, żebym rozstrzygnął czy pisze ładniej niż siostrzyczka Marysia. Cóż, kiedy trudno mi się zdecydować, bo obydwie piszecie ładnie, więc i nadal piszcie do mnie. I Jadzia i Marysia, dobrze?

WASZA MYSZKA MIKI.

GUSTAW MORCINEK — ZA OLZĄ

Nastała teraz przejmująca cisza. Utonął w niej szmer Olzy. Jakiś ptak jął teraz kwilić w pobliskim gąszczu.

— Bestia!... — mruknął ktoś z towarzyszy. — To czyjąś śmierć zwiastuje! — Ktoś stanął, wybiegł na drogę, schylił się. Rzucony kamień wleciał z hałasem w gąszcze. Ptak umilkł.

Karola Bogacza obleciał znowu dreszcz.

— Uwaga! — zawołał półgłosem Witek. — Już jedzie!... Każdy na swoje miejsce.

Karol Bogacz spojrzał na rudy księżyc. Już przechylił się na zachodni stok Jaworowego, już dochodzi powoli łuny trzynieckiej. Jak ten czas szybko uchodzi!... Widzi, że trzech towarzyszy podbiega do podciętego drzewa, trzech przebiega na drugą stronę drogi. Karol Bogacz przygotował się do skoku. Jeden granat odpiął z paska i zacisnął w prawej dłoni. Drogą leci daleki warkot motoru. Świateł jeszcze nie widać, bo zasłaniają drzewa. Warkot zbliża się. Już wybłysły podwójne blaski reflektorów. Maszyna pracuje chyba na drugim biegu, gdyż za głośno warczy. Albo w motorze tłoki wytarte!...

Zbliża się coraz szybciej, maca przed sobą drogę światłami, klekoce metalicznie. Teraz już pędzi wprost na ludzi. Drzewo zatrzeszczało gwałtownie i runęło ciężko w poprzek drogi. Bogacz dostrzegł tylko lecącą wachlarzowatą smugę jego korony. Samochód już dojeżdża, teraz hamulce piszczą gwałtownie. Stanął na kilka metrów przed zwalonym drzewem. Z samochodu zeskakuje czterech żołnierzy. Równocześnie pięć jaskrawych strug elektrycznego światła bryznęło w ich oczy, kole je boleśnie, obezwładnia. Zaskoczeni żołnierze zasłaniają je dłońmi, cofają się nieporadnie.

— Stać! Ramiona w górę!... Bo strzelamy!...— woła ostro ktoś z boku. Oślepieni żołnierze podnoszą ramiona, karabiny wypadają im z dłoni. Lecą z łoskotem na ziemię. Teraz zeskakuje szofer, usiłuje zbiec. Ściga go elektryczne światło.

— Stać! — krzyczy ktoś za nim.

Szofer staje posłusznie, odrzuca karabin, podnosi ramiona. Odwraca się powoli do światła. Na jego twarzy maluje się strach. Krzywi ją w śmiesznych skurczach, coś mamle... Ktoś zbiera porzucone karabiny, wpycha je tym, co trzymają latarki elektryczne. Słychać w tej chwili szczęk zamków karabinowych.

Karol Bogacz dziwi się, że to wszystko tak prędko się odbywa.

— Odprowadzić ich! — słyszy głos Witka. A potem szeptem dodaje: — Do mostu i wracać! Niech idą, dokąd zechcą.

Odłącza się dwóch towarzyszy, spędza zaskoczonych żołnierzy w gromadkę, ktoś każe im maszerować w milczeniu.

— A jeżeli co, to granatem w nich! — woła jeszcze za nimi Witek. — A teraz do roboty piorunem!...

W lesie była już przygotowana jama. Zdołano przenieść dwadzieścia skrzynek amunicji i ręcznych granatów. Strącano je do jamy. Potem przybiegli tamci dwaj, co odprowadzali jeńców.

— Drugi samochód jedzie! Od Trzyńca!... Wojskowy!... — wołali.

I kiedy wszyscy zarzucali jamę gałęziami, Witek podbiegł na drogę do samochodu. Znajdowało się w nim jeszcze kilka skrzyń amunicji. Stanął w rowie i cisnął granatem. Buchnął ogromny płomień, rozwalił się płaski grzmot. Teraz pali się benzyna z rozbitego baku. Płomienie rosną, skrzynki z amunicją eksplodują. Drogą od Trzyńca pędzi samochód. Grzmi



salwami strzałów karabinowych. Z lewej strony zaszczekał gwałtownie karabin maszynowy.

Ostatek gałęzi rzucano w jamę, gdy nadbiegł Witek.

— A teraz cofać się!... Na Stożek z prawej strony!... Gęsiego!...

Pognał przodem, jako najlepiej znający drogę, a za nim sunęli schyleni towarzysze. Karabin maszynowy wciąż szczekał. Ponad głowami bzykały kule i strącały liście z drzew.

Jesienny świt zaróżowił niebo, kiedy w końcu przeszli przez granicę. Przez kilka godzin kołowali, próbowali przedrzeć się przez osaczające ich patrole czeskie, chcieli wrócić, lecz nie udało się. Zaalarmowane oddziały czeskie, strzegące granicy w betonowych schronach i za zasiekami, czuwały pilnie, obmiatając swoje przedpola światłem reflektorów.

Prześliznęli się przez wszystkie zasadzki i wilcze doły; umknęli gniazdom karabinów maszynowych, ostrzeliwali się chwilami, aż nareszcie stanęli w istebniańskiej dolinie. Nikogo nie stracili.

— Co teraz? — pytali Witka, gdy zdyszani i utytłani od błota, w ubraniach porozdzieranych na kolczastych drutach zasieków, zebrali się przy kościele.

— Jutro, a raczej już dzisiaj... Dzisiaj mamy czwartek. Więc dzisiaj o godzinie ósmej zbiórka w tym samym miejscu. Przy kościele istebniańskim. Z karabinami i z granatami. Zostawimy je u kościelnego, wieczorem odbierzemy. Teraz pójdziemy do Nierodzimia, do obozu Legionu zaolzańskiego, ja zaś muszę do Cieszyna. Więc jak powiedziałem. Zbiórka o godzinie ósmej wieczorem dzisiaj tutaj, przy kościele. Rozejść się!...

Karol Bogacz poszedł z towarzyszami do Nierodzimia. Odpoczął, pojadł sobie, ubranie naprawił, a gdy się ściemniło, pojechał autobusem do Istebnej. Towarzysze jego pojechali już wcześniej. W Istebnej był już o godzinie siódmej wieczorem. W przydrożnej gospodzie zastał swoich towarzyszy. Słuchali audycji tajnej stacji radiowej z Zaolzia. W gospodzie było sporo górali. Palili fajki i słuchali w milczeniu tamtych słów tajnej stacji. Przy mocniejszych słowach kiwali głowami i zaciskali pięści.

Z głośnika nad bufetem leciały mocne, twarde słowa. Że oto już zbliża się godzina wyzwolenia, że już przychodzi kres udręki śląskiej, że Czesi muszą zdać krwawy rachunek za całych dwadzieścia lat swego bezprawia za Olzą, że oto cały Śląsk zaolzański zrywa się do powstania, że już nic nie zdoła powstrzymać sprawiedliwości, która niezadługo, za dzień, za dwa przyjdzie na uciśnioną ziemię.

— Do broni!... Do broni!... — wołał nieznany głos w głośniku, spadał na zasłuchanych ludzi, rozpalał serca niepojętym ogniem. Ludzie stawali z ław, skupiali się koło głośnika i czekali.

— Do broni!... Do broni!... — wołał wciąż tamten głos, krzyczał, targał za serca, a każdemu się zdawało, że to nie słowa, lecz płonące żagwie, rzucane w suche podszycie lasu. Oto za chwilę buchnie olbrzymi płomień i ogarnie czarny las jedną wielką burzą pożogi...

...hej, kto Polak na bagnety!...
żyj swobodo, Polsko żyj!...

Leciała teraz z głośnika w zadymioną salę karczmy góralskiej znana piosenka polska, tyle razy śpiewana, pełna buntu i siły...

— Już ósma! — szepnął towarzysz do Karola Bogacza. — Zbiórka!

Karol Bogacz wybiegł. Stanął w ciemnej nocy. Ogromne drzewa przykościelne szumiały z cicha. W drzewach znowu kwili tamten ptak. Ten sam, co wczoraj w nocy nad Olzą. Wyleciał kamień, zaszumiał w drzewie i pacnął gdzieś na trawie. Ptak umilkł.

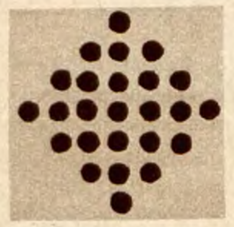
— Znowu, bestia, jęczy! — mruknął jego towarzysz.

Przy kościele stał kościelny. Trzymał w ramionach pięć karabinów. Wyciągnęły się dłonie, rozebrały karabiny. Ustawili się znowu gęsiego i ruszyli w dolinę Olzy. Przodem szedł Witek.

(d. c. n.)

ZAGADKI · FIGLIKI · WYMYŚLIŁ · SAM · MIKI

UKŁADANKA



Zamiast kropek wpisać pionowo i poziomo te same wyrazy (rząd środkowy czyta się jednakowo pionowo i poziomo): 1 — spółgłoska, 2 — marzenie, 3 — powróz lub lina, 4 — wyższy oficer, 5 — człowiek w skafandrze, 6 — skorupiak, 7 — spółgłoska.

SZARADA 1

Pierwsza — środkowa nuta w gamie.
Drugą odnajdziesz w słowie »ramię«,
robota, ryba, rzut i ruch.
Trzecia się składa z liter dwóch.
Ma ją żaba, ma ją baba,
ma ją nawet szyba słaba.
Całość na płótnie lub na papierze
kolory daje barwne i świeże.

ZAGADKA 1

Co za dziwny garnek?
Jedzenie w nim czarne.
Człek go nie je,
zwierz go nie je,
a on je
i zielenieje.

SZARADA 2

Pierwsza — litera pierwsza
(żeby było do wiersza).
Druga — człowiek. Staw go tu,
żeby dziecko niósł do chrztu.
Jeśli nie znasz tej sylaby,
podpowiedzą ci ją żaby.
Druga—pierwsza z **drugim** społem
zapoznali cię z kościołem.
Trzecią aż w pasiece masz,
tylko od pszczół zasłoń twarz.
Czwarta—pierwsza śpiewa mama
(**czwarta—pierwsza** taka sama).
Piąta krótka, ale ważna:
po niej kolej mknie żelazna.
Całość nawet w leśnej głuszy
elektryczny motor ruszy.

ZAGADKA 2

Bardzo grzeczny zwierz:
kiedy my idziemy,
on z nosem przy ziemi
idzie z nami też.
Ani z tyłu, ani z boku,
tylko dotrzymuje kroku.
Całą drogę przez czas długi
idzie jeden, idzie drugi.

ZAGADKA 3

Z połowy łyżki,
z połowy ławy
na lodzie śliskim
dużo zabawy.

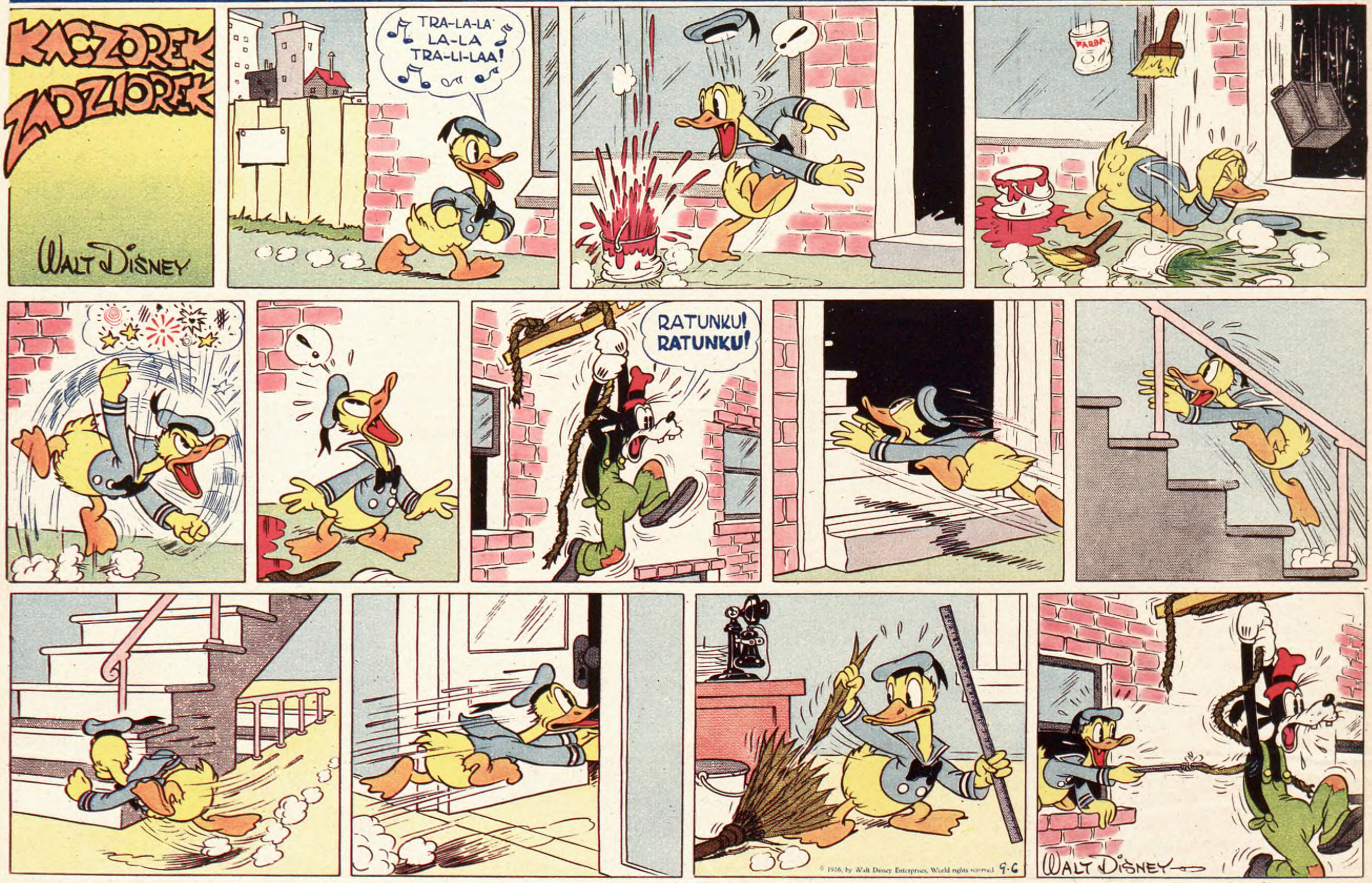
ROZWIĄZANIA Z NRU 11

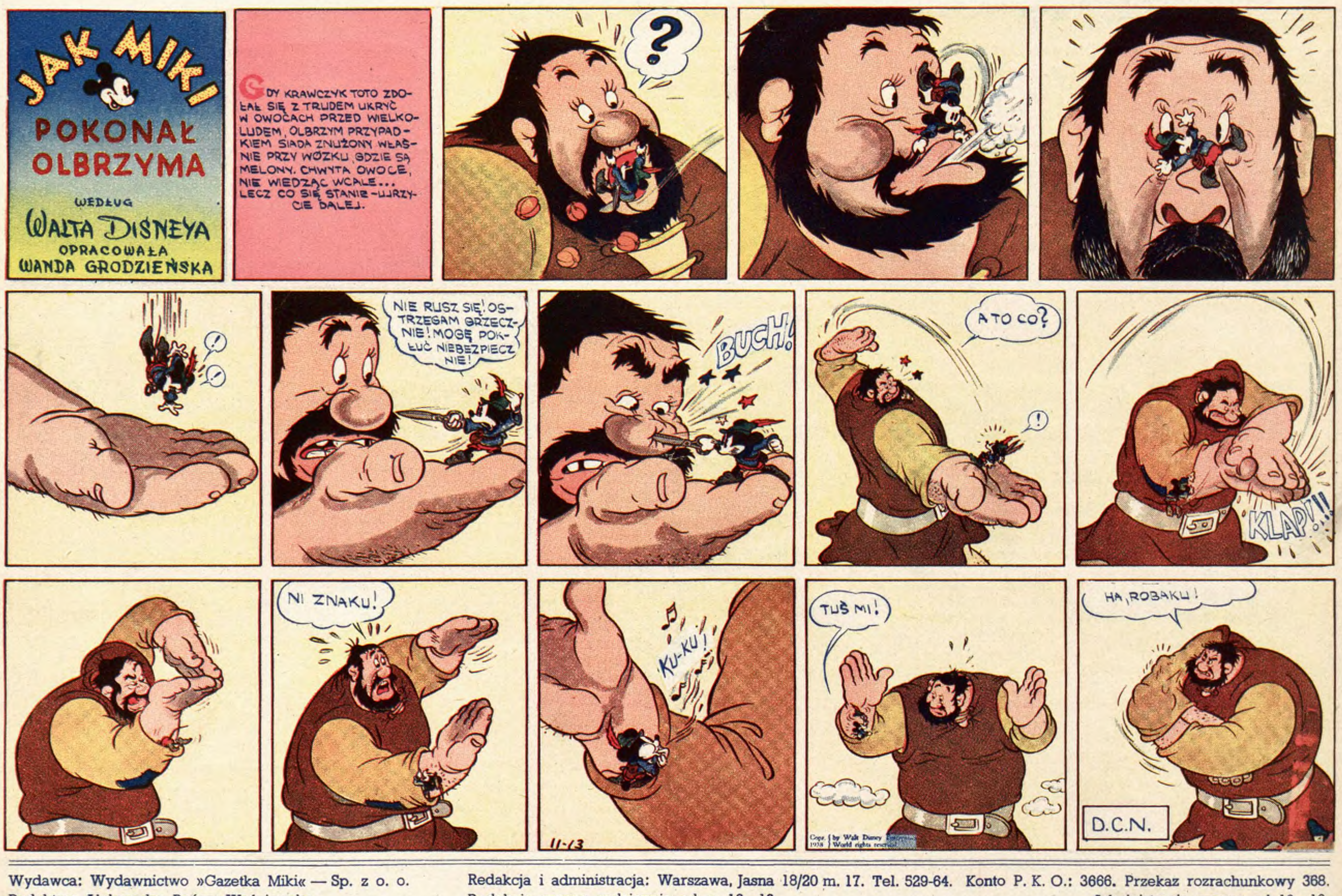
Układanka: OKNA
KAIR
NIDA
ARAB

Zagadki: 1. żelazko; 2. drabina. **Szarada:** Białowieża. **Rebus:** Stalownie Trzynieckie.

KUPON 1
(wyciąć i nadesłać wraz z pracą konkursową)
Wielki konkurs rysunkowy
GAZETKA MIKI Nr 12
WARSZAWA — JASNA 18-20 m. 17

GAZETKA MIKI





Wydawca: Wydawnictwo »Gazetka Miki« — Sp. z o. o. Redakcja i administracja: Warszawa, Jasna 18/20 m. 17. Tel. 529-64. Konto P. K. O.: 3666. Przekaz rozrachunkowy 368.
Redaktor: Aleksandra Bończa-Waśniewska. Redakcja czynna codziennie od g. 12—13. Administracja czynna od 10—19.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 1·50 zł wraz z przesyłką, cena pojed. numeru 40 gr. — Do nabycia w księgarniach i w kioskach »Ruchu«. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.